

Karolina
Winiarska

NASZE PORTRETY



DIAMENITY
WYDAWNICTWO

NASZE
PORTRETY

Karolina
Winiarska

NASZE PORTRETY

DIAMENTY
WYDAWNICTWO

Projekt okładki: Ewa Popławska
Redakcja: Barbara Wrona
Korekta: Agnieszka Dubicka, Aleksandra Juryszczak
Skład: Wydaj To!, Anna Szarko
www.wydajto.pl

Copyright © by Karolina Winiarska 2024



Wydawnictwo Diamenty sp. z o.o.
www.wydawnictwodiamenty.pl

Rzeszów 2024

Wydanie I

ISBN: 978-83-972191-1-3

Kasi



PROLOG

Wigilia 2023

Luksusowy apartament mienił się blaskiem złotych ozdób i drogich dodatków, a świąteczne dekoracje lśniły w świetle eleganckich lamp. W tle leciała kolęda.

*Lulajże, Jezuniu, moja perelko,
Lulaj, ulubione me pieścidełko...*

Dźwięk melodii rozchodził się echem po pustych korytarzach i przestronnych pokojach. Każdy element wystroju mieszkania – od ciężkich, aksamitnych zasłon po skomplikowane mozaiki na podłodze i rzeźbione, dębowe meble – dodawał wnętrzu majestatyczności. W rogu salonu, na marmurowym kominku, płonęły dwie wysokie świece i rzucały migocącą poświatę na obrazy w złotych ramach. Obok, na dębowej półce, stały starannie ułożone antyki.

Mężczyzna w ciemnym garniturze stał przy oknie i spoglądał na zasypane śniegiem ulice Warszawy. Jego postać odbijała się w szybie. Tworzyła przy tym cień osoby, która zdawała się mieć wszystko. Obok niego, na ratanowym stoliku, leżała otwarta książka. Mężczyzna zaczął ją czytać parę tygodni temu, ale nie mógł skończyć. Było to pierwsze wydanie *Wielkiego Gatsby'ego* F. Scotta Fitzgeralda – opowieści o bogactwie, miłości i złudzeniach, które sprawiały wrażenie, jakby niebezpiecznie rezonowały z jego obecnym życiem.

Za plecami mężczyzny krzątała się jego żona. W długiej, eleganckiej sukni przechadzała się od jednego końca salonu do drugiego i układała ostatnie świąteczne dekoracje. Jej ruchy były pełne gracji, ale na twarzy malowało się napięcie, jakby była skupiona na czymś, co tkwiło głęboko pod tą powierzchnią spokoju. Gdy przechodziła obok męża, nawet na niego nie patrzyła.

Cisza w pokoju rozciągała się między małżonkami niczym niewidzialna zasłona. Nagle mężczyzna podszedł do żony, gdy starannie układała srebrne sztuczki na elegancko nakrytym stole.

– Kasia, może powinniśmy... – zaczął niepewnie.

Kobieta spojrzała na niego chłodno, ale nie przerwała swojej pracy.

– Co, Tomasz? Może powinniśmy co? – Jej głos był równie chłodny jak spojrzenie.

– Może powinniśmy spróbować... nie wiem, porozmawiać? Jak kiedyś? – Wyglądało, jakby szukał odpowiedniego słowa. Próbował jednocześnie przebić się przez mur, który powstał między nimi.

Katarzyna odłożyła sztuczki i odwróciła się do niego z wzrokiem pełnym wyraźnej irytacji.

– Porozmawiać, Tomasz? Naprawdę? O czym chcesz rozmawiać? – Jej słowa były ostre, a oczy aż iskrzyły.

Mężczyzna poczuł, jak złość miesza się z poczuciem winy.

– To nie fair, Kasia. Staram się. Staram się dla nas obojga.

Zrobiła krok w tył, ale nie odpowiedziała.

– Kasia, ja... – zaczął, ale przerwał. Nie wiedział, jak naprawić to, co wydawało się nienaprawialne.

W spojrzeniu kobiety tym razem pojawiło się coś, co wyglądało na mieszaną smutku i rezygnacji.

– Może po prostu powinniśmy skupić się na dzisiejszym wieczorze?

Brzmiała wprawdzie spokojniej, ale jej słowa były jak wyrok, który z góry zakładał, że dalsza rozmowa nie ma sensu. Oboje powrócili do swoich zadań i przygotowywali dom na przyjęcie gości, którzy mieli przybyć lada moment.



Helena powoli wchodziła po schodach kamienicy przy ulicy Jagiellońskiej, dźwigając siatki z ostatnimi zakupami na święta. Kiedy dotarła na swoje piętro, zastała sąsiada, który z entuzjazmem zdawał się czekać na okazję do złożenia świątecznych życzeń.

– Dzień dobry, pani Heleno! Sądzę, że pani też w trakcie przygotowań? – zagadał z uśmiechem.

Przytaknęła mu uprzejmie, ale z widoczną rezerwą. Po krótkiej wymianie uprzejmości przekroczyła próg swojego mieszkania. Cieszyła się, że nie musi dłużej prowadzić mało znaczących rozmów. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, poczuła ulgę. Odłożyła zakupy na kuchenny blat i powitała swojego kota, który leniwie przeciągnął się na jej widok.

– Witaj, Kochanowski – powiedziała łagodnie do zwierzęcia, które miauczac, łaśiło się do jej nóg.

Kiedy ułożyła w lodówce dwie kostki masła i kilka plasterków wędliny, poszła do pokoju. Rozejrzała się uważnie. Wigilia, choć była świętem, które nie wzbudzało w niej żadnych emocji, skłaniało ją co roku do refleksji.

Spojrzała na regał z opasłymi tomami po prawej stronie. Półki uginały się pod ciężarem książek – dzieł polskich klasyków, obszernych antologii, dogłębnych analiz literackich. Ściany zdobiły repliki portretów znanych polskich poetów i pisarzy. Wszystko to przypominało jej o życiu, którego... już nie było.

Kobieta podeszła do szafy stojącej obok okna i przejrzała się w lustrze. Patrzyła na nią siedemdziesięcioletnia emerytowana nauczycielka. Z czasów aktywności zawodowej pozostała jej dbałość o ubiór – skromny, acz schludny i noszony z klasą. Siwe włosy Helena niezmiennie od pięćdziesięciu lat spinała w niski kok. Teraz zdjęła ciężki sweter i odłożyła go na miejsce w szafie.

Przez chwilę stała nieruchomo, zamyślona. Przypomniała sobie lata młodości. Obrazy przeszłości, zarówno tej dawnej, jak i sprzed kilku lat, zaczęły przemykać przez jej umysł. Wspomnienia odżyły – twarze bliskich, tematy rozmów, dźwięki głosów. Tęsknota za minionymi chwilami ścisnęła jej serce. Czas zmienił wszystko, a ona nauczyła się żyć z tym, co przyniosło jej życie. Teraz, gdy doszła do takiego momentu, że na nic już nie czekała, spokój był jej największym sprzymierzeńcem. Helena nie spodziewała się już niczego nowego.



Młoda kobieta weszła do klubu na rynku w Rzeszowie. Musiała przepychać się przez tłum ludzi zatopionych w rytmie świątecznych przebojów. Dźwięk dzwonków i kolęd z ulicy mieszał się z elektronicznymi beatami, tworząc pulsujący podkład dla świątecznej imprezy. Wszędzie dookoła migotały kolorowe światła. Odbijały się od dyskotekowych kul i tworzyły przy tym kalejdoskop barw na twarzach imprezowiczów. Marta szybko odnalazła swoich znajomych i niemal natychmiast oddała się zabawie. Od czasów studiów właśnie tak spędzała każdą Wigilię – w zgiełku, wśród tłumu w większości obcych osób.

Poruszała się z wdziękiem i energią. Jej jasne włosy spływały falami na plecy, a wokół jej szyi błyszczał delikatny, srebrny naszyjnik z małym pędzelkiem. Zamknęła powieki i dała się ponieść muzyce. Niespodziewanie ktoś dotknął w tańcu jej biodra. Otworzyła więc oczy i popatrzyła zaskoczona na nieznajomego. Mężczyzna uśmiechnął się i puścił do niej oko. W tej jednej sekundzie cały beztroski nastrój wyparował z kobiety niczym kamfora.

– Fajny tatuaż.

Po tych słowach nieznajomy spojrzął na zewnętrzną część jej dłoni, ale jego komentarz wzbudził w niej irytację. Kobieta zakryła dłonie aż po palce w rękawie luźnej bluzy.

Stała na parkiecie, odwróciła się od mężczyzny i poszła do stolika, przy którym wcześniej siedzieli jej znajomi. Zerknęła na tłum, który tańczył, śmiał się i świętował. Po prawej stronie przy barze Justyna całowała się z Przemkiem – właśnie spędzali pierwsze święta jako narzeczeństwo. Za nimi stała Magda z siostrą. Dziewczyny gorączkowo dyskutowały, machając zamaszycie rękami.

Każdy kogoś miał. Każdy, oprócz niej. Marta patrzyła, jak ludzie wokół niej oddają się radości, na co jej twarz – zwykle

tak wyrazista i pełna emocji – zastygła. Poczwała nagle, że musi wyjść. Zaczęło jej brakować tchu, tlenu i spokoju. Świat wokół niej zamarł. Przemknęła obok par tańczących pod girlandami i wyszła na rynek Rzeszowa. Światła jarmarku świątecznego rozbłyskiwały tu i ówdzie, rzucając tajemnicze cienie na brukowane ulice. Ubrana w ciepły płaszcz, z zamyślonym spojrzeniem obserwowała tę scenę jak obraz, który jeszcze nie został namalowany – pełen życia, ale jednocześnie oddzielony od niej cienkim płótnem. W tle docierały do niej dźwięki dobrze znanej kolędy.

Lulajże, Jezuniu...



ROZDZIAŁ I

Rok 1968

Dziewiętnastoletnia dziewczyna usiadła w swoim skromnie urządzonej pokoju na trzecim piętrze starej kamienicy w Rzeszowie. Jej twarz, pełna młodzieńczego entuzjazmu i nadziei, oświetlona była łagodnym światłem lampki, które rzucało ciepłe refleksy na brzoskwiniowe ściany. W kącie pokoju, na małym drewnianym stoliku, stało radio – stary, ale dobrze zachowany model z lat pięćdziesiątych, pamiątka po jej dziadku. Włączyła je i dotąd obracała pokrętko, aż złapała ulubioną stację. Z głośnika popłynęły akordy piosenki Czesława Niemena *Dziwny jest ten świat*, a muzyka wypełniła pokój. Po chwili spiker poważnym tonem rozpoczął audycję na temat najważniejszych wydarzeń mijającego roku, tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego.

Dziewczyna sięgnęła po książkę leżącą na parapecie – *Zarys dziejów literatury polskiej*. W czasie, gdy robiła

notatki, radio nadal grało. Przynosiło jej chwilę zapomnienia od wydarzeń rozgrywających się na uczelni.

Zamyślona, nie zauważyła, jak drzwi do jej mieszkania cicho się otworzyły. Zimne powietrze wdarło się do ciepłego wnętrza. W progu pojawiła się sylwetka mężczyzny, który stał przez moment niepewnie, jakby wahał się, czy wejść dalej. Wysoki, ubrany w ciężki kożuch, który zdawał się jeszcze bardziej podkreślać jego postawę, zdjął z głowy mokrą od śniegu czapkę i przejechał dłonią po zmarzniętych włosach. Jego twarz była zatroskana. Po chwili namysłu zrobił krok do przodu i zamknął za sobą drzwi, które skrzypnęły lekko pod jego dotykiem.

Mimo niewypowiedzianych jeszcze słów atmosfera w pokoju zagęściła się, napełniając przestrzeń oczekiwaniem na rozmowę, która miała nadejść.

– Musimy porozmawiać. – Głos mężczyzny był niski i pełen niepokoju, jakby to, co planował za chwilę zdradzić, ważyło więcej niż noszony przez niego płaszcz.

Kobieta powoli wyprostowała plecy i wzięła głęboki wdech. Zamknęła książkę, wstała zza biurka i wyłączyła radio. Odwróciła się w stronę gościa. Jej błękitne oczy przypominały teraz morską tafelę – spokojną, acz bezkresną i nieodgadnioną.

– Tak? – Starła się ukryć drżenie w głosie.

Mężczyzna westchnął ciężko, ale tak naprawdę oboje wiedzieli, że słowa, które za chwilę padną, na zawsze zmienią ich relację.

Rok 2024

Poranek w Warszawie przywitał mieszkańców dopiero, gdy pierwsze promienie słońca przebiły się przez gęstą zabudowę.

Tomasz, punkt szósta, rozpoczął dzień od biegu wzdłuż Wisły. Rytuał ten, niezmienny od lat, pozwalał mu zachować kondycję i skupienie niezbędne do pracy. Tego dnia biegło mu się trudniej niż zazwyczaj. Początkowo myślał, że to przez nowe buty, szybko jednak zorientował się, że wszystko było w jego głowie. Mężczyzna czuł wyjątkowe napięcie i niepokój.

Kiedy wrócił do mieszkania, żony już nie było. Wziął szybki prysznic i przebrał się w granatowy garnitur. Przed wyjściem zdążył jeszcze wypić łyk czarnej kawy i pospiesznie wyszedł z mieszkania. Jego czarny mercedes czekał zaparkowany przy krawężniku.

Podczas jazdy wysłuchał wiadomości gospodarczych i wstępnie przygotował się do zaplanowanych na ten dzień spotkań. Po przyjeździe do eleganckiego biurowca, w centrum miasta, uśmiechnął się uprzejmie do recepcjonistki. W windzie zamienił kilka słów z nowym stażystą, a do swojego gabinetu wszedł nieco spokojniejszy. Napięcie z poranka odrobinę puściło. Na biurku znalazł teczkę z dokumentami, z którymi chciał się zapoznać jak najszybciej. W międzyczasie jego asystentka przyniosła mu kawę z odrobiną cynamonu.

– Dziękuję, pani Magdo. I mam od razu prośbę, by spotkanie z dwunastej przesunąć na dziewiątą.

Młoda kobieta skinęła i po chwili powiedziała:

– Ma pan jeszcze jedno spotkanie, panie dyrektorze.

– Tak? – Tomasz podniósł wzrok znad raportu z ostatniego kwartału. – Czyżbym o czymś zapomniał? – Nerwowo zerknął na kalendarz wiszący na ścianie.

– Nie. To nagła zmiana planów. – Spuściła wzrok i bezszelестnie opuściła gabinet szefa.

Tomasz wziął do ręki długopis, zamiast jednak podpisać odpowiednie dokumenty, zaczął nim stukać o blat.



Poranek pierwszego września rozpoczął się w domu Zuzi i jej taty bardzo wcześnie. W powietrzu unosił się zapach świeżo parzonej kawy, a także zapach nowych książek i zeszytów, które dziewczynka poprzedniego wieczora starannie poukładała w swoim plecaku.

– Gotowa na pierwszy dzień w piątej klasie?

Tata podszedł do córki z grzebieniem w ręku. Zuzia uśmiechnęła się do niego przez lustro, na którym widać było jej pełne oczekiwania odbicie.

– Trochę się boję, ale jednocześnie trochę się cieszę – przyznała, patrząc na nową sukienkę, którą wybrała na dzisiaj. Była jasnoniebieska, z małymi, białymi kwiatkami.

Mężczyzna delikatnie zaczął zaplatać córce włosy w dwa warkocze, starając się równomiernie rozdzielić pasma. Podczas pracy nad fryzurą opowiadał historię, która zawsze ją bawiła.

– Wiesz, kiedy byłem w twoim wieku, miałem nauczycielkę od polskiego. Była bardzo surowa, szczególnie jeśli chodziło o ortografię. Do dziś pamiętam, jak musieliśmy pisać dyktanda z takimi słowami jak „gżegżółka”. To słowo zapadło mi w pamięć na całe życie.

Zuzia zaśmiała się, bo wyobraziła go sobie jako przerażonego ucznia.

– Obiecuj, że jak będziesz miała dyktando, to powiesz mi, czy mieliście takie trudne słowa – dodał tata, gdy kończył zaplatać drugi warkocz.

– Obiecuję!

Dziewczynka pokręciła głową, aby sprawdzić, czy warkocze są dobrze związane. Po szybkim śniadaniu w końcu nadszedł

czas, by wyjść z domu. Tata pomógł jej włożyć plecak na plecy, złapał za rękę i razem wyszli na przystanek autobusowy, gotowi stawić czoła wyzwaniom, jakie przynosił nowy rok szkolny.



Helena siedziała w swoim starym, wygodnym fotelu z otwartym tomem *Trenów* Jana Kochanowskiego na kolanach. Była to jej coroczna tradycja. Właśnie tak rozpoczynała każdy nowy rok szkolny, mimo że od lat nie uczyła już w szkole. Przez otwarte okno wpadał do jej pokoju chłodny, wrześnieowy wieczór.

Jak co roku kobieta zadzwoniła do Zosi – dobrej znajomej z czasów, gdy była aktywna zawodowo. Lubiła jej składać życzenia z okazji pierwszego września. Tym razem koleżanka nie przywitała jej głosem pełnym energii, tylko smutkiem i rozżaleniem.

– Plastikzka zrezygnowała! – krzyknęła Zofia do słuchawki. – Pierwszy września, a ona rzuca papierami! Dzisiejsza młodzież nie ma za grosz odpowiedzialności.

– Może dostała lepszą propozycję. – Helena próbowała uspokoić rozgorączkowaną znajomą. – Wiesz, praca w szkole nie należy ani do łatwych, ani do dobrze płatnych. A żyć z czegoś trzeba.

– Nie broń jej. Mogła pomyśleć o tym w czerwcu, ewentualnie w sierpniu. Jak ja kogoś znajdę z dnia na dzień?

Problemy Zofii nieco przytłoczyły Helenę, która w duchu poczuła ulgę, że takie emocje ma już za sobą. Życie emerytki było zdecydowanie spokojniejsze niż nerwowa posada pani dyrektor w szkole. Uprzejmie zakończyła rozmowę i postanowiła wrócić do czytania.

Nagle spokój w mieszkaniu został przerwany. Zza ściany dobiegały dźwięki głośnej muzyki, na co Helena westchnęła. Starła się skupić na lekturze, ale hałas nie ustawał. Próbowwała ignorować odgłosy, które coraz bardziej drażniły jej zmysły, lecz było to coraz trudniejsze. Kochanowski również niespokojnie chodził po pokoju. Czasami zatrzymywał się, by ostrym wzrokiem wpatrywać się w kierunku drzwi. W końcu skoczył na parapet i zaczął nerwowo machać szarym ogonem, co tylko potwierdzało rosnące w pokoju napięcie.

Kobieta podniosła się z fotela i podeszła do okna, starając się uspokoić. Spojrzała na zewnątrz. Lampy uliczne rzucały długie, złote smugi na chodnik, a przechodnie wyglądali na zatopionych we własnych myślach.

– Pierwszy września... – mruknęła pod nosem.

Zdawało się jej, że nieznajoma z mieszkania obok, która dopiero co się wprowadziła, jest niezwykle pełna energii, a to tak bardzo kontrastowało z jej potrzebą ciszy i spokoju.

– Może warto by było się przywitać... – powiedziała do siebie, choć pomysł ten nie napawał jej entuzjazmem.

Po chwili wahania poprawiła upięcie koka, odetchnęła głęboko i zapukała do mieszkania nowej sąsiadki. Drzwi szybko się otworzyły, a w progu stanęła młoda kobieta, której twarz zdobił wyraz irytacji.

– Tak?

Kobieta próbowała zachować spokój i mimo wewnętrznego zdenerwowania uśmiechnęła się niepewnie.

– Dzień dobry. Jestem Helena, mieszkam tuż obok. Chciałam tylko powiedzieć, że muzyka jest trochę za głośno, a jest już późno...

– Cisza nocna zaczyna się o dwudziestej drugiej – przerwała jej nieznajoma z wyraźnym zniecierpliwieniem

w głosie. – Właśnie się wprowadziłam i muszę wszystko rozpakować.

Helena poczuła, jak jej policzki lekko płoną.

– Rozumiem, ale...

– Naprawdę nie mam teraz czasu. – Sąsiadka weszła jej ponownie w słowo, tym razem bardziej zdecydowanie. – Proszę wrócić, jeśli po dwudziestej drugiej nadal będzie za głośno. Dziękuję.

Po tych słowach drzwi przed kobietą się zamknęły, a ona została sama na korytarzu. Tkwiała tam przez chwilę nieruchomo, potem powoli odwróciła się i wróciła do swojego mieszkania. Mimo że próbowała zrozumieć sytuację młodej kobiety, poczuła się znieważona. Kiedy usiadła z powrotem w swoim fotelu, spojrzała na kota, który właśnie rozpoczął swój wieczorny rytuał mycia.

– Cóż, Kochanowski, wygląda na to, że będziemy musieli się przyzwyczaić do nowych warunków – mówiła do niego, próbując odnaleźć w sobie choć odrobinę humoru w tej nieprzyjemnej sytuacji.

Po jakimś czasie poszła do przedpokoju i ściągnęła z haczyka pęk kluczy. Od kilku miesięcy opiekowała się mieszkaniem, które po śmierci właściciela stało puste. Telefonicznie kontaktował się z nią jedynie pracownik biura nieruchomości, który był odpowiedzialny za wystawienie lokalu na sprzedaż. Niestety nie udawało mu się znaleźć kupca na trzydziestometrową kawalerkę w kamienicy, ze ślepą kuchnią i niewielką łazienką.

Helena od czasu do czasu podlewała tam paprotkę, która z każdym rokiem stawała się coraz bardziej mizerna. Więdną, podobnie jak jej wspomnienia o osobie, która w tym mieszkaniu dawnej mieszkała.

Tego wieczoru, choć wcale tego nie planowała, poczuła jednak, że musi побыć nieco dłużej pod numerem osiemnaście.

– Kochanowski, idę do niego. Ta dziewczyna tak mi podniosła ciśnienie, że muszę się uspokoić. – Pogłaskała kota i wyszła.



Marta stanęła w progu swojego nowego mieszkania. Od-
dychała głęboko zapachami starego drewna i farby, które
wypełniały powietrze w jej nowym domu. Choć w samym
centrum Rzeszowa było tutaj cicho i spokojnie. Na podłodze
leżało jeszcze kilka nierozpakowanych pudeł.

Powoli podeszła do jednego z nich, rozdarła taśmę i wycią-
gnęła sztalugę. Ustawiła ją przy dużym oknie, z którego wpa-
dało naturalne światło – idealne do malowania. Chwilę później
wzięła do ręki pędzel, przesuwając palcami po jego miękkim
włosiu, co sprawiło, że poczuła się pewniej i spokojniej.

Muzyka płynęła z radia, które postawiła w rogu pokoju.
Dźwięki ulubionych jazzowych melodii wypełniały prze-
strzeń i pomagały jej zagłuszyć lęk przed tym, co zostawiła
za sobą. Marta sięgnęła po kubek z zieloną herbatą. Gorący
łyk sprawił, że poczuła jeszcze większy spokój. Nie zwróciła
uwagi, że jej bawełniane dresy pokryły się warstwą kurzu,
opadającego z półki, na której poukładała kolekcję pędzli.

Rozpakowywała kolejne pudełka, a jej ruchy były
ostrożne – każdy przedmiot dokładnie oglądała przed odłóże-
niem na miejsce. Nagle dźwięk dzwonka do drzwi sprawił,
że podskoczyła, a jej serce szybciej zabiło.

Gdy ostrożnie otworzyła, w progu zobaczyła starszą ko-
bietę o niepewnym uśmiechu.

– Dzień dobry. Jestem Helena, mieszkam tuż obok. Chciałam tylko powiedzieć, że muzyka jest trochę za głośno, a jest już późno...

Marta, jeszcze spięta, czuła, jak jej serce bije szybciej. Przerażenie, że jej przeszłość może ją znów dogonić, nawet tutaj, w nowym miejscu, ścisnęło ją za gardło.

– Cisza nocna zaczyna się o dwudziestej drugiej – przerwała szybko. – Właśnie się wprowadziłam i muszę wszystko rozpakować.

Starsza pani, widocznie zaskoczona taką reakcją, próbowała kontynuować:

– Rozumiem, ale...

– Naprawdę nie mam teraz czasu – weszła jej znowu w słowo. – Proszę wrócić, jeśli po dwudziestej drugiej będzie jeszcze za głośno. Dziękuję – dodała, po czym bez czekania na odpowiedź zamknęła drzwi i oparła się o nie z poczuciem rosnącej izolacji.

Nie wiedziała, kiedy sięgnęła po telefon i wybrała znajomy numer.

– Przyjeżdż – rzuciła, gdy tylko usłyszała w telefonie głos. – Nie dam rady być tu sama...



ROZDZIAŁ 2

Rok 1968

– To, co się dzieje na uczelni... Rozumiem twoje zaangażowanie, ale musisz uważać – zaczął swoją wypowiedź. Jego głos był poważny, a w oczach malowała się troska. – Nie wszyscy rozumieją to, co robisz. Nie wszyscy popierają... Mamy przecież sześćdziesiąty ósmy rok. Sama wiesz, jaka jest sytuacja w kraju.

Helena spojrzała uważnie na mężczyznę stojącego w progu jej mieszkania. Badała twarz, która była jej tak bliska i daleka jednocześnie.

– Wiem, co robię – zapewniła powoli. – Te protesty są potrzebne. To nie tylko o moje prawa chodzi, ale o prawa nas wszystkich. Nie możemy siedzieć i nic nie robić, gdy widzimy, jak ograniczają naszą wolność.

Zabrzmiała stanowczo, bo podniosła głos nieco bardziej, niż zamierzała. Mężczyzna zrobił krok w jej kierunku.

– Helena, nie jesteś sama w tej walce, ale to nie znaczy, że powinnaś siebie narażać. To, co robisz, przyciąga uwagę. Niektórzy mogą tego użyć przeciwko tobie...

Przez chwilę milczała, a potem wyjaśniła:

– Nie potrzebuję ochrony, potrzebuję twojego wsparcia.

Mężczyzna westchnął z nutą rezygnacji.

– Będę cię wspierał, na ile będę mógł. Nic więcej nie mogę obiecać...

To ostatnie zdanie złamało jej serce. Nie potrzebowała niczego więcej. Wiedziała już wszystko. Ścisnęła mocniej oparcie krzesła, obok którego stała. Po chwili sięgnęła dłonią po egzemplarz tomiku wierszy, który leżał na biurku.

Leśmian.

To ten tomik czytali razem podczas wiosennych spacerów. W czasie jednego z nich na pierwszej stronie zapisali dwie litery: „H” oraz „J”. Helena przez chwilę ścisnęła tomik w dłoni, po czym oddała go mężczyźnie i spuściła głowę. Nie chciała patrzeć, jak drzwi wyjściowe się zamykają, a ona zostaje sama w mieszkaniu.

Rok 2024

Marta usiadła pod ścianą i pocierała dłonie o kolana. Z jednej strony wiedziała, że jej lęk był irracjonalny, z drugiej nie potrafiła powstrzymać natłoku myśli. Wydarzenia z ostatnich miesięcy bombardowały jej umysł z prędkością światła.

Wdech.

Wydech.

Nic nie pomagało.

Niespodziewanie z klatki schodowej dobiegły do jej uszu dzikie wrzaski. Najpierw usłyszała potężny łomot, jakby ktoś

uderzał w garnki, a potem niemal zwierzęcy skowyt. Zamarła. Plecy miała proste niczym struna, a dłonie zastygły jej w bezruchu. Zdziwiła się, jak w ciągu paru sekund jej umysł potrafił podrzucić kilka najczarniejszych scenariuszy dotyczących tego, co się właśnie działo na klatce schodowej.

– Nie uwierzysz! – usłyszała głos osoby, którą bardzo dobrze znała. – Ale jazda!

– Ksawery? To ty? – Marta wstała z podłogi i zajrzała do przedpokojku.

Rzeczywiście, w progu stał przyjaciel z włosom rozwianym bardziej niż zazwyczaj. Mężczyzna dyszał ciężko, ale uśmiech nie schodził mu z twarzy.

– Słyszałeś? – zapytała zdezorientowana. – Coś się wydarzyło na dole!

Podeszła z widocznym niepokojem w oczach i odruchowo przytuliła się do niego.

– Mała! – Ksawery ją delikatnie odepchnął. – To nie coś się stało, tylko ja. Że też zawsze to mnie się przydarzają takie rzeczy!

Przeczesał długą grzywkę i zmierzył wzrokiem bladą przyjaciółkę.

– A tobie co?

Marta próbowała opanować drżenie całego ciała.

– Myślałam... Myślałam, że wiesz...

Mężczyzna, zamiast empatycznie poklepać ją po ramieniu, parsknął śmiechem.

– To ja, Martuś, to ja! Słuchaj, nie wiem, jak to się stało, ale wpadłem do złego mieszkania! – zaczął opowiadać, gestykulując przy tym teatralnie rękami. – Myślałem, że jestem na właściwym piętrze, wszedłem. Na pewniaka!

Kobieta aż otworzyła szerzej oczy, ale nie przerywała mu opowieści.

– I jak to ja, pamiętałem układ mieszkania, bo przecież razem je oglądaliśmy przed wynajmem, więc poszedłem do łazienki, bo wiesz, długa podróż autobusem... I kiedy wychodziłem, zobaczyłem kobietę z miotłą! Zaczęła krzyżeć, więc ja też krzyknąłem. W sumie nie wiem dlaczego, bo sięgała mi ledwo do ramion, ale chyba ta miotła tak na mnie podziałała – zaśmiał się cicho i po chwili kontynuował: – Nagle przybiegł jej mąż na ratunek z... drugą miotłą i zaczął mnie nią dzielić po plecach! – relacjonował Ksawery, a w jego oczach malowało się coraz większe rozbawienie.

– Ale jak to w ogóle możliwe, że pomyliłeś mieszkania? – Marta próbowała zrozumieć sytuację.

– To akurat nie moja wina, że wszystkie drzwi w tej starej kamienicy wyglądają tak samo! Że też ludzie nie mają potrzeby indywidualizmu! Istne szaleństwo. A potem są takie konsekwencje, jakie są, i ludzie dostają miotłami po głowie! Dopiero jak uciekałem schodami, zorientowałem się, że to nie to piętro!

Napięcie powoli zeszło z kobiety. Usiadła na brzegu kanapy i z niedowierzaniem kręciła głową.

– Może zacznij nosić okulary? – zażartowała, gdy podawała przyjacielowi kubek herbaty.

– Może i powinienem, ale wiesz, co mówię: „Sztuka zaczyna się tam, gdzie kończy się komfort”. A dziś na pewno wyszedłem ze strefy komfortu! – odparł z uśmiechem.

Marta kiwnęła głową.

– Twój komfort to jedno, ale postaraj się nie wpadać więcej do mieszkań sąsiadów. Mam wrażenie, że i tak mnie tu średnio lubią – przyznała z przekąsem.

– Spokojnie, mnie kochają wszystkie staruszki.

– Właśnie słyszałam...

Zmrużyła oczy, a Ksawery uśmiechnął się zmieszany.

– No oprócz staruszek z miotłami. I wiesz co? – dodał, pochylając głowę. – Chyba będę miał guza... No, ale my tu śmichy-chichy, a robota czeka. Jak się rozpakujesz, musimy pomyśleć, wiesz o czym! To może być albo nie być w świecie artystycznym!



Tomasz siedział w swoim biurze skupiony nad przygotowaniem raportów finansowych, które miały być kluczowym punktem nadchodzącej prezentacji.

Na jednej z półek, tuż obok zbiorów książek o ekonomii i zarządzaniu, stał mały, elegancki posąg feniksa, wykonany z ciemnego, błyszczącego metalu. Był to prezent od kolegi z branży, który podarował mu go jako symbol odrodzenia i nowych możliwości. Feniks, z głową dumnie uniesioną ku górze i szeroko rozpostartymi skrzydłami, jakby w trakcie powstawania z popiołów, zawsze przypominał mu o ciągłej możliwości zmiany i przemiany.

Właśnie wtedy, gdy pochłonęły go rozważania nad tym symbolem, drzwi jego biura niespodziewanie się otworzyły, a w progu stanął szef.

– Dzień dobry, Tomasz. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? – zagadnął pan Kowalski. Zmusił w ten sposób mężczyznę do szybkiego przełączenia się z introspektywnych rozmyślań na oficjalny ton rozmowy.

– Dzień dobry, panie prezesie. Właśnie przygotowywałem się do spotkania z Niemcami. – Tomasz mocno ścisnął w dłoni srebrny długopis.

– Tak... – chrząknął Kowalski. – Niemcy są obecnie naszym strategicznym partnerem. Ostatnio w Hamburgu dali temu wyraz.

Po tych słowach znacząco spojrzął na stos dokumentów leżących na biurku pracownika. Przez moment rozmowa toczyła się o bieżących projektach i planach na kolejne kwartały. Kiedy Tomasz wyciągnął dłoń, by sięgnąć po opaskę segregator z raportami, pchnął niechcący łokciem mały posąg, a feniks runął na podłogę z głośnym stuknięciem.

– Chyba wziąłem za duży rozmach – zażartował i podniósł figurkę z podłogi.

– Zdarza się każdemu. A właśnie... – Kowalski znowu chrząknął, po czym poluzował krawat przy szyi. – Mówiąc o rozmachach i zmianach...

Tomasz nie odłożył feniksa na miejsce. Zupełnie bezwiednie ścisnął go mocno w dłoniach.

– Pierwszy września to taki nowy początek – kontynuował prezes po chwili milczenia. – Zbiegło się to ze zmianami u nas w banku. Wspomniałem o rozwoju, a zatem chciałem porozmawiać o twojej roli w naszej organizacji – dodał pośpiesznie.

Tomasz czuł, jak jego serce zaczyna bić szybciej.

– Jak wiesz, bank stoi przed nowymi wyzwaniami, które wymagają od nas elastyczności i gotowości do zmian – mówił teraz szybko i stanowczo. – Przeanalizowaliśmy nasze cele strategiczne i zdecydowaliśmy, że kluczowe będzie wzmocnienie naszego oddziału w Rzeszowie – wyjaśnił.

– Rozumiem. – Tomasz już wiedział, do czego szef może dążyć w tej rozmowie, czekał jednak na dalszy rozwój sytuacji.

– To oznacza, że po długim rozważaniu zarząd postanowił przenieść cię do Rzeszowa, abyś objął tam funkcję dyrektora oddziału. Wierzmy, że twoje doświadczenie i umiejętności przywódcze będą kluczowe w rozwijaniu naszej działalności w tym regionie – oznajmił Kowalski, patrząc mu prosto

w oczy. – Plus jest taki, że jesteś z Rzeszowa i zdecydowanie będzie ci tam łatwiej.

– Ale ja... Ja jestem z Warszawy. Nie pochodzę z Rzeszowa, tam się tylko urodziłem – sprzeciwił się Tomasz, choć wiedział, że to zdanie nic nie zmieni w całej rozmowie. Fakt był taki, że właśnie został zdegradowany.

– Rozumiemy twoje obawy, ale musisz zrozumieć, że to decyzja strategiczna. Twoja rola w Rzeszowie będzie miała kluczowe znaczenie dla przyszłości naszego banku. Oczekujemy, że podejdziesz do tego zadania z pełnym zaangażowaniem i profesjonalizmem, na jakie zawsze możemy u ciebie liczyć – zakończył stanowczo Kowalski.

Feniks wrócił na miejsce, ale spokój Tomasza już nie.